

NIEŚĆ MIŁOŚĆ UKONKRETNIONĄ

+

Stajemy, my, Kościół w czasach zarazy w obliczu zupełnie nowej próby.

Truizmem staje się potwierdzanie oczywistości: nie znaliśmy takiego zagrożenia, ostatnie podobne dotykały nas wieki temu, zostaliśmy zaskoczeni, nie wiemy co robić, jak żyć...

A oni przed wiekami wiedzieli...

Wracam do myśli prof. Rodneya Starka, amerykańskiego socjologa i agnostyka, którego zadziwił wzrost liczby chrześcijan. W 40 r. nie było ich 1000, w 340 r. ok. 33 miliony. A ten wzrost dokonał się przez uwiarygodnienie ich nauk. Ich słowa o miłości bliźniego stały się czynem w czasach marnych, w czasie epidemii...

Gdy Rzym był pustoszony przez epidemie – uciekali więc wszyscy – instytucje cesarskie, urzędnicy, kapłani pogańscy, lekarze na czele z Galenem, autorytety. Ale chrześcijanie trwali i szli do zarażonych. Jako jedyni. I byli w ten sposób jedynie wiarygodni.

A szli do zarażonych z trzema wartościami. Nieśli im sens istnienia, nieśli miłość przełożoną na czyny miłosierdzia i wreszcie – poczucie więzi wspólnoty.

nieśli miłość przełożoną na czyny miłosierdzia

To działanie staje się dzisiaj, w świecie dotkniętym erozją pandemii działaniem w ramach walki cywilizacyjnej.

Obserwujemy istotnie heroiczną postawę służby zdrowia, ministra i ministerstwa w naszym państwie. Ale w tle informacji, które do nas docierają są też inne obrazy – ze świata.

Konkretniej, z Włoch...

Włoskie szpitale walczą pod presją liczby ciężko chorych pacjentów. Wielu z nich zmarło, a dla wielu wciąż nie ma wystarczającej ilości respiratorów do leczenia ostrych trudności w oddychaniu. Doprowadziło to do nadzwyczajnego wezwania Włoskiego Kolegium Anestezjologii, Analgezji, Resuscytacji i Intensywnej Terapii do wdrożenia systemu segregacji. Jeśli pacjent wydaje się zbyt chory, aby skorzystać z respiratora, lekarze pozwolą mu umrzeć, aby mogli zająć się innymi chorymi pacjentami. Ujawnia się brutalna zasada kto silniejszy, ten lepszy. I nie ukrywa się, że zasadą, która rządzi ma być utylitaryzm. Człowiek jest przeliczany na koszty utrzymania, na tzw. jakość życia – ten, kto ma niską jakość życia, kto jest nie użyteczny, ma być eliminowany...

Innymi słowy, pacjenci powyżej, powiedzmy, 80 lat lub pacjenci z innymi schorzeniami, takimi jak cukrzyca lub niewydolność serca, mają być wydani na śmierć.

Pamiętam komentarz naszej przewodniczki w Izraelu, gdy wędrowaliśmy z Jerycha do Jerozolimy. Przekonywała nas do racji, którymi kierowali się kapłan i lewita, gdy mijali pobitego., będącego w sytuacji granicznej człowieka.

- Jeśli ten człowiek był konający, to kapłan i lewita dotknąwszy go mogliby zaciągnąć nieczystość rytualną, gdyby skonał na ich rękach. Jemu by nie pomogli., a kultu w świątyni też nie mogliby, jako nieczysti sprawować... A jeśli nie był realnie konający, to mógł czekać. No i doczekał się Samarytanina...

Jest w tym myśleniu logika, jest pragmatyzm, ale ... Życie ludzkie zostało skalkulowane na ile opłacalne jest jego ratowanie...

Przed wielu laty, w latach 70. w Stanach wyprodukowano forda pinto – model, który przebił się na rynku ceną – był minimalnie poniżej 2000 dolarów. Ale model miał wadę fabryczną, która powodowała, mogła powodować wypadki. Jej usunięcie podniosłoby cenę sprzedaży

o kilkanaście dolarów, ale to osłabiłoby stan reklamowy. Przeliczono prognozowaną sprzedaż i zyski, a także prognozowane odszkodowania w indywidualnych procesach powypadkowych. Opłacało się dla Forda, dla firmy. Jednak nie dla ludzi, którzy ginęli w wypadkach z powodu nieusuniętej wady...

W przypowieści Chrystusa Samarytanin – człowiek postrzegany przez Żydów jako ich nieprzyjaciel – nie kalkulował, nie szacował, nie sprawdzał, czy mu się opłaci. Okazał się na tyle wrażliwy, że nie tylko zainteresował się nieszczęśliwym, ale przyszedł mu z bardzo konkretną i daleko idącą pomocą. Nie tylko na miejscu opatrzył rany owego człowieka, ale także zawiózł go potem do gospody i jeszcze zapłacił gospodarzowi, aby ten dalej troszczył się o niego. Zadeklarował też, że pokryje wszystkie dodatkowe koszty związane z pielęgnacją rannego człowieka. Ta jego pomoc miała więc nie tylko charakter doraźny i jednostkowy. Można w tym wypadku mówić o pewnej strategii pomagania.

Benedykt XVI, *Deus caritas est*:

ci, którzy podejmują prace charytatywne, powinni odznaczać się tym, że nie ograniczają się do sprawnego wypełnienia tego, co stosowne w danej chwili, ale sercem poświęcają się na rzecz drugiego, w taki sposób, aby doświadczył on bogactwa ich człowieczeństwa. [...] Miłość jest bezinteresowna; nie praktykuje się jej dla osiągnięcia innych celów (n, 31)

Prawdziwy naśladowca Chrystusa nie pyta: kto jest moim bliźnim? Pytanie takie zdradzałoby chęć wyodrębnienia pewnej grupy osób, które pomogłyby praktykować miłosierdzie możliwie najmniejszym kosztem. Rzeczywistym problemem jest to, jak „stać się bliźnim” dla innych, przesuwając centrum uwagi z siebie na drugiego, niezależnie od tego, kim on jest.

Samarytanin jest synonimem miłosierdzia chrześcijańskiego.

Warto może w tym momencie zatrzymać się przy tym słowie „miłosierdzie”, słowie tak dzisiaj popularnym używanym, ale ośmielę się powiedzieć – nadużywanym. Miłosierdzie dla matki ziemi, dla zwierząt, dla środowiska, dla uchodźców, dla obcych, dla odmiennych płciowo, dla nieszczęśliwych...

Zwłaszcza dla nieszczęśliwych...

Kreśli się ludzkie stany życiowe, które są stanami nieszczęścia. Choćby stany dramatycznych sytuacji uchodźców. Najczęściej – nic o nich nie wiemy. Nie znamy ich realnych danych osobowych – nawet wieku, nie wiemy skąd pochodzą, z reguły otrzymujemy bardzo powierzchowny obraz: imię nazwisko, wiek, wykształcenie, zawód, przynależność religijna, stosunek do służby wojskowej. Na tej podstawie człowiek zostaje zarejestrowany, a potem drogą swojej osobistej haggady opowiada o nieszczęściu którego doświadczył. Naprawdę tak nic pewnego o nich nie wiemy – wiemy że są nieszczęśliwi, dotknięci nieszczęściem.

Stan ludzkiego nieszczęścia jest przy tym stanem równie dramatycznym, co niepokojącym. Józef Tischner analizując kondycję człowieka nieszczęśliwego zastanawiał się, co dzieje się z człowiekiem

wtedy, gdy nie potrafi spojrzeć na świat inaczej, jak poprzez pryzmat swojego nieszczęścia. Przeżyte nieszczęście trwa w nim i staje się oknem, przez które patrzy on na ludzi, na świat, na Boga.

No właśnie, owo spojrzenie na Boga jest szczególnie intrygujące. Tischner kontynuuje:

Okno nieszczęścia staje się również oknem, przez które człowiek ogląda Boga. Co się wtedy dzieje? Możliwe są dwa wyjścia: albo człowiek obwinia Boga za swoje nieszczęście i wówczas odchodzi od Boga, albo odkrywa, iż jego nieszczęście

przykuwa wzrok litościwego Boga i wtedy wytwarza w sobie swoistą odmianę religijności – „religijność nieszczęśliwą”.

[...]Nieszczęśnik odkrywa, iż dopiero dzięki nieszczęściu stał się kimś naprawdę cennym dla Boga. Bóg spojrział na niego, usłyszał jego jęk i jego płacz.

Wtedy pozostaje już tylko jedno: przywiązać się do swojego nieszczęścia, odnaleźć w nim swoją drogę wiary, a także swoją godność”.

Tym, co mnie uderza, może mylnie, fałszywie – to przejście z płaszczyzny miłosierdzia na faktyczną płaszczyznę litości. Ostatnie lata, i w nauczaniu Kościoła, i w praktyce duszpasterskiej tworzyły takie właśnie ryzyko – stworzenia religii nieszczęśliwych w miejsce wiary w miłosierdzie. W tej religii sam fakt nieszczęścia jest faktycznie atutem i jedyną racją pomocy.

I nasz Kościół ostatnich lat, skupiając się na tworzeniu obozów dla uchodźców, pomocy w tym, by zajmowali pustostany, skupiając się na tanim pseudo-psychologicznym poradnictwie dla rozwodników, zwanych towarzyszeniem, nasz Kościół, a raczej my, w Kościele dewaluowaliśmy miłosierdzie. A przecież to słowo ma swój ciężar.

Odczuwamy go, gdy mówimy:

...dla Jego bolesnej męki, miej miłosierdzie dla nas i świata całego...

... dla Jego bolesnej męki, Jego męki...

Ta sytuacja, w której się znaleźliśmy jest szansą powrotu do wagi i powagi słów.

Jest naszym sprzeciwem wobec traktowania ludzkiego życia w kategoriach ekonomicznych, przeliczalnych, utylitarnych...

Ale jest też powrotem do miłosierdzia, prawdziwego, czystego jak krew i woda...

Zagub się w miłosierdziu, a odnajdziesz szczęście

Niech więc wzbudzi się w naszym sercu pragnienie, by wraz z s. Faustyną wznieść ku niebu błagalną modlitwę:

Dopomóż mi, Panie, aby ręce moje były miłosierne i pełne dobrych uczynków, bym tylko umiała czynić dobrze bliźniemu, przyjmować na siebie cięższe i mozolniejsze prace. Dopomóż mi, Panie, aby nogi moje były miłosierne, bym zawsze spieszyła z pomocą bliźnim, opanowując swoje własne znużenie i zmęczenie. (...) Dopomóż mi, Panie, aby serce moje było miłosierne, bym czuła ze wszystkimi cierpieniami bliźnich. O Panie, pragnę się cała przemienić w miłosierdzie Twoje i być żywym odbiciem Ciebie. Niech ten największy przymiot Boga, to jest niezgłębione miłosierdzie, przejdzie przez serce i duszę moją do bliźnich. (...) Niech odpocznie miłosierdzie Twoje we mnie, o Panie mój.